

TADEUSZ KANNENBERG.

RÓŻYCZKA.

Panna Różyczka była znudzona i znużona. Nie tyle życiem, którego goryczy prawdopodobnie nie wiele zaznała, ile raczej przeżyciem wszystkich, nawet i tych najfiglarniejszych chwil misternego konwenansu, wśród którego żyła. Nie trzeba bowiem zapominać, że była młodą i delikatnie chowaną panną na wydaniu.

— Mamo, nudzę się śmiertelnie! Jakby tak dłużej, to zobaczy mama, że sobie „coś” zrobię — rzekła Różyczka do matki w dniu swych imienin popołudniu, rzucając się pełnym wdzięku ruchem na wygodną kanapkę w swoim panińskim pokoiku.

— O ja nieszczęśliwa! Takież to pociecha z dorodnej córki w domu! Zamiast sobie „coś” zrobić, już raz wyszukaj sobie męża! — Wyrzucając z siebie gromko tę słuszną zresztą radę, postawiła mama filiżaneczkę czarnej kawy na stolyczku przed kanapką i energicznie wyszła z buduaru, tchnącego zapachem storczyków.

Godzina popołudniowa, deszcz ze śniegiem i wiatr nastrajają każdego do rozkosznego dolce farniente. Tak też uczyniła i Różyczka.

— Wyszukaj sobie męża! — Łatwe to w brzmieniu, lecz o ileż trudniejsze w przeprowadzeniu. Dla Różyczki to „wielka sprawa”, a tej nie chciała i nie mogła załatwić „od ręki”.

Nie, nie, teego szaleństwa nie robi nigdy! Czyż może inaczej?

Wielkie, czarne oczka zasłoniły się leniwo opadającymi powiekami o długich firankach rżęs.

Oto przed trzema laty! Pamięta, była na wakacjach u ciotki Bronci, w małym miasteczku, w cudownej okolicy.

Nudziła się, lecz nie nazbyt, spacerowały tak miło!

Raz poznała go, naturalnie przypadkiem, wówczas, gdy się tak strasznie przestraszyła... krów, co przerażone przejeżdżającym autem, podniosły ogony do znacznej wysokości i pędziły przed siebie, nie zważając na przechodniów. On ją uratował...

Odtąd spotykali się przypadkiem codziennie. Ona słuchała go chętnie jak opowiadał o sobie, o pogoni za chlebem, jak otrzymał posadę inżyniera i jak mimo wszystko czuje się dziś osamotniony, wreszcie jakby pragnął założyć własne ognisko domowe.

Był wcale sympatycznej powierzchowności, tylko tak mało było w nim poezji. Był nawet bardzo miły, lecz tylko w miasteczku, w cudownej okolicy.

Po dwudziestym dziewiątym spacerze poprosił ciotkę Broncię o pozwolenie oświadczenia się o rączkę Różyczki.

Krótki liścik wyjaśnił temu panu pomyłkę. Chętnie słuchać, to jeszcze nie kochać.

Czyż można było inaczej?

Oto przed trzema laty! Pamięta — była precudowna zima. Śniegu nie wiele, ale zato przepyszna ślizgawka. Różyczka uczyła się z pałem zdrowego sportu łyżwiarskiego. Raz na lodzie upadła. Jeden z młodzieży, który ślicznie się ślizgał, rzucił się na pomoc, podniósł Różyczkę i odprowadził do ławeczki.

— Jeszcze o jedną malutką przysługę poproszę — rzekła Różyczka — łyżwa mi się przekreśliła, jeśli pan taki dobry, to proszę mi ją sprostować!

— Z miłą chęcią — odparł i wziął się do roboty, do której niejednego chłopiec czasu tej nadaremnie wdycha. Dla ułatwienia tej mozolnej zresztą pracy, Różyczka uniosła delikatnie sumienkę, okazując wysoki bucik i pończoszkę czarną nad bucikiem. łyżwa nie chciała się sprostować. Towarzyszki młodzieńca po chwili bezskutecznego czekania, zeszyły ze ślizgawki.

— Przez panią pozostałem sam na lodzie, wobec tego pozwoli pani, że będę ją uczył łyżwiarskiego kunsztu, w którym jestem dość biegły.

I tak zaczęły się codzienne niemal lekcje. Nauka postępowała szybko. Pan Karol był taki miły, przystojny, tak pięknie opowiadał o poezji, o kobiecie i o miłości...

Cóż, kiedy miał tylko jedno marynarkowe ubranie, jedną czerwoną krawatkę i był dopiero kandydatem, zdolnym do objęcia wszystkich zresztą posad.

Zima się skończyła. Mama kilka razy powiedziała panu Karolowi, że Różyczki nie ma w domu, a na ulicy nie mogli się czegoś nigdy spotkać.

Czyż można było inaczej?

A oto przed rokiem! Pamięta była z mamą nad morzem. Boże, co to za rozkosz dla pięknie zbudowanej kobiety wyjechać z polecenia lekarza nad morze dla poratowania zdrowia i wypoczynku.

Różyczka miała prześliczny kostym kąpielowy, czarny, obcisły, z wąskimi czerwonymi wypustkami. A jaka czapeczka! Ludzie się oglądali. Nie oglądał się tylko jeden pan, pomimo, że właśnie jego tylko wzroku Różyczka pragnęła. Kokietowała go, bo wart był tego. Piękny typ męski, ogorzały od słońca, wyglądał jak posąg ze spiżu ulany. I dlaczego nie zwracał najmniejszej uwagi na postać Różyczki? To nie-słusznie i niegrzecznie, to irytujące wreszcie!

Kilka razy z tego powodu Różyczka niemal z płaczem wracała do kabiny.

Tak trwało długich dziesięć dni. Nareszcie zdawało się Różyczce, że się raz oglądniętą właśnie w chwili, gdy siedząc na piasku, zdjęła pończoszkę, by gołą nóżkę w piasku zakopać. Nawet się uśmiechnął, lecz trwało to taką sekundę, że nie miała żadnej pewności. A o tę pewność tak Różyczce chodziło, niemal modliła się o to, by choć raz spojrzeć w jej kierunku. Niestety znowu przez cały tydzień nie zwracał na nią uwagi, choć miała chwile prawdziwie uroczę i nęcące każdego, kto nie miał serca z kamienia.

Była piękna, ciepła noc księżycowa. Morze białymi grzywkami pianki kładło się rytmicznie z fali na falę, połyskując wodą w srebrzystym świetle modremi łuskami nieskończonego potwora. Muzyka grała sentymtalne walce, a tłum gości używał nocnego spaceru nad plażą.

Nagle Różyczkę przeszedł dziwny dreszcz, ujrzała go obok patrzącego w nią magnetycznie.

— Proszę panią na krótką przejażdżkę żaglowcem po szlaku księżycowym. Czekam przy stopniach.

— Co za impertynent — pomyślała Różyczka i niespostrzeżenie wymknęła się mamie wśród tłumu, zdążając ku stopniom. — Co on sobie myśli? Wszystko jedno, musi go poznać.

— Jestem, panie! — drżała nerwowo jak w febrze.

— Dziękuję — podał jej rękę. Wskoczyli do małej barki żaglowej i przy delikatnym wietrzyku pomknęli w niezbadaną dal, płynęli środkiem srebrnego blasku księżyca.

— Płyniemy oboje w nieznane przestrzenie, może aż do wrót księżycowego pałacu?...

— Kto pan?

— Człowiek, a pani kobieta. Czy to nie dość dla nas, że niezwykłą moc, której ani ja, ani pani oprzeć się nie potrafimy, pociąga nas ku sobie? Ciągnie i zmusza byśmy we dwoje zaznali rozkoszy prawdziwego życia...

Różyczka drząc na całym ciele z trwogi i nieokreślonego lęku, ukryła twarzą w swe miękkie dłonie, a on zaczął melodyjnym głosem śpiewać precudną aryę z Halki. Ta cudna taka swojska melodia na dalekiej obczyźnie — wśród obcych — wytworzyła nastrój nie dający się wprost opisać. Skończył.

— Przedstawiłem się pani, czy wystarczy?

— Tak. — szeptem odpowiedziała i nagle uczuła się porwaną w silne ramiona, usta złą-

czyły się z ustami w niekończącym się pocałunku.

Jak długo płynęli, nie wie. Czy mówili ze sobą, nie pamięta. Wiedziała tylko, że kocha, kocha po raz pierwszy w życiu.

Nazajutrz rano pobiegła nad morze.

Niestety, nie przyszedł. I tak minęło rozpaczyliwych dwa tygodnie. Wszelki ślad o nim zaginął. Nie mogła sobie darować, że go nie spytała o imię, adres — o wszystko, wszystko. Zapóźno.

Płakała, bo kochała.

Czyż mogła inaczej?

I oto dziś, po roku, na życzenie mamy, ma wysłuchać oświadczeń pana Stefana, wdowca z jednym dzieckiem.

Zerwała się z kanapki. Pan Stefan stanął w drzwiach.

— Czy zechcesz pani być mi towarzyszką w życiu i matką dla mego synka? Wierz pani, że ją kocham i głęboko szanuję. Podaj mi pani swą rączkę na znak zgody.

Podawała rękę — on ucałował ją gorąco, potem weszła mama, pobłogosławiła, poprosiła na kawę do jadalni i... już po wszystkim.

— Więc tak wygląda prawda w życiu?

Nie mogła wytrzymać i szybko wymknęła się na ulicę.

— Boże! Rok temu, a dziś — cóż za różnica!

Nagle ktoś ją zaczepił — spojrzała — to posługacz publiczny z listem. Zdumiona zrywa kopertę.

— W pierwszą rocznicę wycieczki po księżycowym szlaku, zapraszam panią na swą tarasę nad Wisłą. Noc podobna tamtej. Czekam o ósmej.

— Impertynent, nikczemnik, nienawidzę go!

Z temi słowami wpadła Różyczka z powrotem do domu.

— Mamo, dziś wieczór idę do teatru.

— Co grają?

— „Silna kobieta”. Pójdę sama — wrócę wczas.

I poszła do teatru. Jak to się stało, że po drodze zbłądziła, tego nie pamięta, dość, że o ósmej stanęła u niego — na tarasie nad Wisłą.

— Wiedziałem, że pani przyjdzie! Poprosiłem panią, by wyjawic jej moją tajemnicę, która mi żyć nie daje — dla której włóczę się bez celu po szerokim świecie. Wyznam ją pani, może to mnie uspokoi i sił doda. Męcę się i cierpię, jak nikt na świecie. Dwa lata temu „Ona” była tu, na tej tarasie — o tej samej godzinie i tego samego dnia. Wieczór był, jak dziś. Była to pani podobna. Kochałem ją i pragnąłem wyjawic jej moją „wielką tajemnicę”, jak dziś chcę to uczynić. Gdy zacząłem mówić, „Ona” parsknęła śmiechem, mówiąc: „waryat”.

Powiedziała żem waryat, mnie, który przed nią wyjawiałem swą wielką tajemnicę życia, swoje najświętsze twórcze idee — mnie — mnie... Podbiegłem do niej, chwyciłem ją w pól i przez tę tu baryerę wrzuciłem do Wisły.

Różyczka drżała jak liść osiki, nie zdawała sobie już z niczego sprawy prócz tego, że musi się ratować za wszelką cenę.

Na stoliku spostrzegła długi ostry nóż do rozcinania książek — ukryła za sobą — i z rozszerzoną żrenicą czekała.

— Potem zwaryowałem rzeczywiście — odsiedziałem karę — wypuścili mnie jako nieszkodliwego — wyzdrowiałem. Rok temu studiowałem panią nad morzem — widziałem każdy ruch pani. Byłem odwrócony, ale miałem lusterko w ręku...

Różyczka zemdląła. Jak się znalazła w domu — nie pamięta.

W kilka dni potem, zwróciła pierścioneł panu Stefanowi.

Czyż mogła inaczej?

— — — — —

I oto teraz Różyczka jest starą panną!



ADMINISTRACJA

„Nowości ilustrowanych“

odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe

z każdego numeru po pełowie ceny własnych kosztów.